

Tygodnik KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH



Rok V

Gorzów Wlkp., dnia 2 lipca 1950 r.

Nr 20

Pełnia chrześcijańskiego życia

Chryścianizm jest pełnym światopoglądem. Pełnym w tym sensie, że w sposób wyczerpujący tłumaczy zjawiska świata, daje jednoznaczne i zadawające odpowiedzi na wszystkie pytania dręczące człowieka, przybliża mu poznanie Boga, daje mu wreszcie klucz do rozwiązania zagadki celu ludzkiego życia, oraz możliwość zorientowania się w hierarchii wartości ziemskich, uwarunkowanych wolą Stwórcy.

Ta pełnia chrystianizmu domaga się od wiernych wielu rzeczy. Jeśli w ramach naszej religii znajdujemy wszystko co dla duszy ludzkiej jest potrzebne, jeśli wyznając ją, osiągniemy szczęście, nie dające się ująć w kategoriach naszego myślenia, to zrozumiałe jest, że winniśmy spełniać wszelkie bez wyjątku nakazy religii, oddychać jej atmosferą, przepajając nią nasze życie. Pełnia chrześcijańskiego życia to dużo: to prawie świętość. Ale czy naszym obowiązkiem nie jest dążenie do świętości mimo ułomków, załamania, psychicznych powikłań odśladających brutalnie naszą słabość. — Świętość to nasz ideał, ideał tym droższy, że trudno osiągalny. Nie ma ludzi idealnych. Są tylko ludzie słabi, ułomni, dźwigający na barkach brzemień wad, słabości i błędów. Lecz wszystkie ułomności są do zwalczania.

Wielkość świętych Kościoła polegała na tym, że potrafili oni walczyć ze sobą doprowadzić do zwycięskiego finału. Pełnia chrześcijańskiego życia — to ideał, ale ideał osiągalny nawet w ramach naszych skromnych możliwości, mimo istnienia oporu w nas samych. Te opory są niczym innym, tylko jedną z wielu postaci lenistwa duchowego i fizycznego. Katolicyzm wyklucza lenistwo, potępia postawę wygodnicką, jałową. Nakazuje walczyć. Z sobą przede wszystkim. Z tym, co jest w nas złe, płaskie, niegodne istoty rozumnej, z tym, co między nami a Bogiem wykopać może przepaść. — Z grzechem. Pierwszym więc warunkiem realizacji pełni życia chrześcijańskiego jest walka z grzechem, z chropowatością i brudem moralnym. Jest to warunek konieczny, ale bynajmniej nie, wy-

starczający. Niszczenie w sobie złych skłonności, wypłukiwanie brudu z duszy jest działaniem negatywnym, aczkolwiek zbawiennym. Pełnię chrześcijańskiego życia osiąga się dopiero poprzez systematyczne działanie pozytywne. Nie wystarczy zniszczyć w sobie zło. Na oczyszczonej z chwastów glebie duszy trzeba posiać dobro, użyźnić ją częstą modlitwą, baczyć, aby się znów nie zachwiała.

Dlatego niezbędne pogłębianie swego życia duchowego, niezbędna jest troska o to, aby kwitło ono i rozwijało się w słonecznej atmosferze modlitwy. Życie duchowe pień się we właściwych ramach znajduje swoje uzewnętrznienie, swój odpowiednik w konkretnym działaniu dla bliźnich i Kościoła, w pracy bezinteresownej i ofiarnej, owocnej w plony, u których korzystać będą inni ludzie. Bez pracy, bez praktycznego działania z myślą o rzeczach potrzebujących pomocy współbraci, pełnia chrześcijaństwa pomyśleć się nie da.

Na straży nauki Chrystusa stoi Kościół. On podaje nam prawdy, w które mamy

wierzyć, on tłumaczy nam Pismo św., wyjaśnia dogmatyczne zawisłości, dba o moralność, wychowuje wiernych w ciepłej miłości bliźniego, realizuje Królestwo Boże na ziemi. System prawd, dogmatów, pouczeń, nakazów składa się na pojęcie katolicyzmu, pełnego i logicznie powiązanego światopoglądu. Reprezentantem i wyrazem tego światopoglądu jest właśnie Kościół jako instytucja Boża. Chcąc osiągnąć pełnię chrześcijaństwa trzeba bezwzględnie przyjąć cały system, zastosować się do jego wymagań, podporządkować mu swoje „ja“, bezradnie obijające się o ściany życiowych sprzeczności, uznawać jego zakazy i nakazy, wierzyć, że jest prawdziwy i zbawienny dla duszy. Wszelkie uproszczenia, przyjmowanie jednych prawd, a odrzucanie innych, niewygodnych, naginanie twardych norm Bożych do egoistycznego widzimisię — jest niedopuszczalne. Katolicyzm bowiem jest systemem jednolitym, związanym wewnętrznie tak mocnymi włóknami Boskiej logiki, że przerwanie jednego z nich powoduje rozluźnienie całości.

Dążenie do pełni chrześcijaństwa, pełni katolicyzmu, związane być musi z jednoczesnym przyjęciem całej nauki Kościoła, mimo że niejednokrotnie jest ona dla nas niewygodna. Nie należy jednak sądzić, iż ściśle wypełnianie obowiązków wypływających z wyznawanej religii, nałoży zbyt mocne hamulce naszej swobodzie. Ramy aktywności zakreślone przez Boga są bardzo obszerne. Można w nich cieszyć się życiem, pracować, działać, rozwijać się najwzschodniej. Należy tylko dbać o to, aby nie przekraczać bezmyślnie lub co gorsze z rozmysłem tych granic, poza którymi stoi grzech.

Na koniec jeszcze jedno. Pełnia chrześcijańskiego życia wymaga spełnienia warunku, bez którego nie dałoby się osiągnąć. Tym warunkiem jest częste przystępowanie do spowiedzi i Komunii św. Dopiero życie przepojone pracą, modlitwą, życiem zgodnym z nauką Kościoła, umacniane przez sakramenty — będzie w pełni katolickie.

Tadeusz Hałuch.



Nawiedzenie Najświętszej Marii Panny

WIARA A FANATYZM

Tylko wiara połączona z miłością prowadzi do nieba. My uważamy się za szczerze, mocno i prawdziwie wierzących. Jest jeden bardzo czuły sprawdzian, który pozwala nam zobaczyć ile prawdy zawiera to nasze przekonanie o sobie. Jest nim nasilenie miłości nieodłącznie związanej z prawdziwą wiarą chrześcijańską.

Akt wiary bowiem to nie jest sama tylko czynność rozumu. Tylko poznaniu naukowemu właściwe jest samo działanie rozumu.

W chrześcijańskim akcie wiary „wola porusza umysł oraz inne siły duszy do celu” człowieka, którym jest Wieczysta Prawda — czyli do Boga (Suma Teol. św. Tomasza z Akwinu, I, II, Kw. 2, art. 3 ad. 4). Wola człowieka wierzącego porusza jego umysł miłością ku prawdzie — mówi św. Augustyn. „Czegóż bowiem silniej pragnie dusza, niż prawdy!” (Trakt. o Ew. św. Jana).

Miarą więc istotnej wartości naszej wiary jest stopień równoczesnej miłości ożywiającej nasze serce.

Miłość ta, biorąc swój początek z obcowania z Bogiem przez wiarę, nie ogranicza się do samego Boga, jako Najwyższej Prawdy, godnej przylgnięcia do Niej całym sercem. Zupełnie samorzutnie rozciąga się ona na wszystko i wszystkich na świecie, którzy cokolwiek mają wspólnego z Bogiem. Zatem i na ludzi niewierzących lub zaledwie poszukujących prawdy.

Zbadajmy siebie. Co czujemy wobec ludzi niewierzących? Jeśli odpychanie i pogardę — to znak, że wiara nasza nie jest czysta. Jest w niej domieszka postawy duchowej, która ma wiele pozornych podobieństw do wiary. Mianowicie fanatyzm.

Wydać się, że w Polakach-katolikach dużo jest skłonności do zarzania się fanatyzmem. Dowód to, że wiara nasza jest niedostatecznie głęboka. Przebywa ona częściej w niższych rejonach osobowości naszej, w której drzemają instynkty religijne. Instynkty te, jeśli obejmą władzę nad aktem wiary, zdolne są podporządkować sobie nawet rozum i wolę człowieka wierzącego. Tymczasem w prawidłowym akcie wiary jest na odwrót. „Wola powinna poruszać umysł oraz inne siły duszy do celu ostatecznego.”

Oświadczenie Episkopatu Polski w obronie pokoju

WARSZAWA. PAP. Ks. biskup dr Zygmunt Choromański, sekretarz Episkopatu, złożył w dniu 22 czerwca b. r. na ręce dyrektora Urzędu do Spraw Wyznań — Antoniego Bidy, oświadczenie następującej treści:

Ks. biskup dr Zygmunt Choromański, sekretarz Episkopatu, został upoważniony do złożenia następującego oświadczenia w imieniu Episkopatu:

Do Apelu Sztokholmskiego, jako współczynnika pokojowego załatwiania spraw międzynarodowych, Episkopat ustosunkowuje się pozytywnie i będzie opierał akcję pokojową, zapoczątkowaną zbieraniem podpisów pod apelem.

Energia atomowa, to największe odkrycie geniuszu ludzkiego, winna się przyczynić do uszczęśliwienia ludzkości, a nie do jej zagłady.

Warszawa, dnia 22 czerwca 1950 r.

Ks. biskup dr Z. Choromański
Sekretarz Episkopatu.

Jakie są więc te niebezpieczne cechy fanatyzmu? Trzeba je poznać, by zabezpieczyć naszą wiarę przed sfałszowaniem wewnętrznym, a co za tym idzie nieraz — przed stopniową, niepostrzeżoną jej utratą.

Fanatyzm ma jedną słabość. Słabość przenikającą samą jego istotę. Jest nią niezdolność do budzenia miłości. A tylko siłą miłości, działającą niepowierzchownie, wszczepiającą siłę fanatyzmu, ale i w głąb — tylko ta miłość zdolna jest wydać owoce zdrowe i dzieła trwałe. Taką siłą jest wiara chrześcijańska miłością przeniknięta. Ona to obejmuje wszystko swym poznaniem i wszystko dobroczynnym działaniem ogarnia.

Brak miłości to wielka słabość wierzeń, opartych o fanatyzm.

Wiara katolicka powinna być wolna od najmniejszych oznak takiej postawy wobec ludzi innych poglądów. Spokój i dostojność wiary katolickiej płynie stąd, że jest ona w posiadaniu prawdy. Wierzący raz przekonał się, że Kościół katolicki powtarza rzeczywiste słowa Boże przekazane ludziom. Pokochał on swym aktem wiary świat prawd, które obiecuje mu tak wzniosłą przyszłość. Jednocześnie pamięta, że „w domu Ojca niebieskiego jest mieszkania wiele” (Jan, 14, 2). Dla nikogo miejsca nie zabraknie, a im większy zespół wielbiących Ojca całej ludzkości, tym większa wieczna radość społeczna i tym doskonalsza chwała

U WRÓT KOŚCIOŁA

Wśród staromiejskich wąskich uliczek samotna cisza błdzi o tej porze — miasto szare ma oblicze zanim je blaskiem wyzłocą zorze.

Lecz niech cię nie przeraża przechodniu
nieznany
cisza bezechowa u kościelnych bram —
spójrz! nocą zakwitły kasztany,
za chwilę spżem odezwie się dzwon.

Wejdz przed ołtarze kościoła
w ciszy milczeniem rozmodlonej —
w duszę twą, jak dzwon głos uderzy Pana,
i drogi wskaże ci nowe.

Jeśli cierpisz — On biczowany
cierpienie twoje zrozumie,
i zanim na Ave zadzwonią dzwony
ukojny spokój na duszę twą spłynie.

Zaden zgiełk tutaj modlitwy nie zmaci,
nikt nie zatrzyma w drodze,
jeno z witraży zadumani święci
w oczy ci spojrzą o tej cichej porze.

Wejdz w wąskie uliczki miasta
posłuchaj jak tam serce mocno bije — —
z szarego pyłu poprzez mgły wyrasta
krzyż, i w złocie słońca nad światem panuje.

Maria Dziurzyńska.

Boża. Stąd jego postawa wobec ludzi innych przekonań.

Katolik głęboko wierzący wie, że w zasadzie każdy człowiek zdolny jest do poznania i ukochania prawdy, której posiadaniem on już się cieszy. Kochając Prawdę wieczystą wierzy, że i jego bliźni prędzej czy później pozna ją i pokocha. Dlatego walcząc o honor Boga, nie traci szacunku dla cudzych przekonań, a życzliwości dla błędzących.

Ks. J. P.

„Wbrew obawom widma przyszłej wojny napawa otuchą rozwijająca się na świecie i w Polsce akcja, która ma na celu obronę pokoju i przeciwstawienia się knowaniom wojennym”.

Oświadczenie Sekretarza Episkopatu Polskiego J. E. Ks. Bp. Zygmunta Choromańskiego w sprawie pokoju

Jedynie wcielenie w życie zasad etycznych jest w stanie stworzyć warunki pokoju. Eliminowanie wojny i budowanie pokoju zależy od zastosowania praw moralnych, a przede wszystkim sprawiedliwości i miłości w stosunkach między ludźmi i narodami.

Kościół od zarania swej działalności, szerząc te idee, był współczynnikiem pokojowego regulowania stosunków między narodami.

Episkopat Polski w zrozumieniu posłannictwa Kościoła dał wyraz swej współpracy w tej dziedzinie w p. 9 Porozumienia z Rządem mówiąc: „zgodnie z nauką Kościoła będzie popierał wszelkie wysiłki, zmierzające do utrwalenia pokoju, będzie się przeciwstawiał w zakresie swych możliwości wszelkim dążeniom do wywołania wojny”.

Wbrew obawom widma przyszłej wojny napawa otuchą rozwijająca się na świecie i w Polsce akcja, która ma na celu obronę pokoju i przeciwstawienia się knowaniom wojennym.

Episkopat docenia tę akcję pokojową i popiera zmierzające w tym kierunku wysiłki. Episkopat to czyni w sposób właściwy Kościołowi.

Dlatego Episkopat i duchowieństwo nie przestaje w pracy swojej duszpasterkiej przenikać społeczeństwo uczuciami braterskiej miłości i pokoju, słusznie wierząc, że zdobycze kultury mogą służyć pokojowi i dobrobytowi, a nie niszczycielskiej wojnie. Świadomi jesteśmy, że nowa wojna wskutek postępu technicznego i odkrycia energii atomowej przedstawiałaby dla ludzkości i naszego kraju niebezpieczeństwo zupełnej zagłady.

Dlatego świat katolicki powtarza słowa modlitwy jubileuszowej:

„Daj Panie pokój za dni naszych —
pokój duszom, pokój rodzinom, pokój ojczyźnie, pokój wśród narodów. Niech tęcza pokoju i pojednania otoczy łukiem swego błogosławieństwa ziemię, uświęconą życiem i męką Twego Boskiego Syna”.

(Za Słowem Powszechnym)

**EWANGELIA NA V NIEDZIELĘ
PO ZESŁANIU-DUCHA ŚWIĘTEGO**
św. Mateusz (5, 20—24).



„Pojednaj się z bratem twoim“.

W on czas: Mówił Jezus uczniom swoim: „Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie większa, niż uczonych i faryzeuszów, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego. Słyszeliście, iż powiedziano w Starym Zakonie: „Nie zabijaj, kto by zaś zabił, tego czeka sąd.“ A Ja wam powiaduję, że każdy, kto się gniewa na brata swego, tego czeka sąd; kto by zaś rzekł bratu swemu „zakale“, tego czeka Najwyższy Trybunał; a kto by rzekł: „bebożniku“, tego czeka piekło ogniste. Jeśli zatem przyniesiesz ofiarę swą do ołtarza, a tam przypomnisz sobie, że brat Twój ma coś przeciwko tobie, zostaw tam przed ołtarzem ofiarę swą a idź, pojednaj się w pierw z bratem swoim, a wtedy wróciwszy się złóż ofiarę swoją.“

**PRZECZYTAJ TO WYJAŚNIENIE
LITURGICZNE**

Braterstwo ludzi zalecane jest nam w tekście dzisiejszej Mszy św. Miłość bliźniego ze wszystkimi dobrodziejstwami pochodzi głównie z miłości i łaski Bożej (MODLITWA). Miłość Boża opanować powinna wszystkie uczynki nasze, wyniszczając w nich miłość własną, a natomiast wlewając się w jednomyślnym trwaniu na modlitwie i oddawaniu bliźnim nawet za złe. Czyny te wylicza nam dzisiejsza (LEK-CJA) mszalna. W dalszym ciągu zachęca nas do tego samego dzisiejsza EWANGELIA o sprawiedliwości i miłości Chrystusowej. Nawet modlitwy i ofiary nasze i słuchanie Mszy św. nic nam nie pomoże, jeżeli nie będziemy miłowali bliźnich naszych, i to nie tylko w czynach, które ludzie widzą, ale i w myślach i intencjach naszych, które Bóg widzi (EWANGELIA I SEKRETA). Trzeba się naprzód pojednać z bratem swoim, a wtedy przyszedłszy ofiarować dar i wysłuchać Mszy św.

Sieradzki Jerzy.

Najpiękniejsza pamięć

— Mamusiu — rzekła piętnastoletnia Irka do matki. — Mamusiu, czy mamusia pamięta, jutro ósma rocznica śmierci naszego kochanego tatusia.

Pani Zofia z miłością popatrzyła na Irkę. — Jakże bym mogła o tym zapomnieć dziecino. O tatusiu nigdy nie zapominam. Mam go wciąż przed oczyma. Zdaje mi się, że ta jego straszna śmierć z ręki Niemca była nie osiem lat temu, ale wczoraj. Takich rzeczy się nie zapomina. Irko, przynajmniej ja tego nigdy nie zapomnę.

— Ja też mamusiu nie zapomnę tego nigdy — powtórzyła za matką Irka. — Byłam wtedy dużo mniejsza, byłam właściwie jeszcze maleńka ale pamiętam wszystko dokładnie. Tatusia bardzo kochałam.

Zamyśliła się chwilę. Dodała wkrótce: — I kocham go bardzo, choć go już nie ma między nami. Jest mi taki sam kochany jakim był kiedyś. Dlatego codziennie modlę się za tatusia, żeby Bóg był dla niego łaskawy.

Pani Zofia z miłością przycisnęła główkę Irki do piersi.

— Dobrze robisz — rzekła. — Za tatusia, zawsze, zawsze do samej śmierci trzeba się modlić. On ciebie tak bardzo kochał. Za to módl się za jego duszę zawsze i nie zapomnij, że to twój święty obowiązek. Jeśli, jak mówi Pismo św., dobrą, piękną i świętą rzeczą jest modlić się za zmarłych, aby miłosierdzie nad nimi okazał dobry Bóg, to jeszcze lepszą, piękniejszą i świętszą rzeczą jest modlić się za własnego ojca. Nie zapomnij tego nigdy Irco.

— Nie zapomnę mamusiu.

— Szczególnie jutro będziemy więcej za naszego tatusia się modlić — dodała pani Zofia.

— O, tak. Rocznicą śmierci tatusia to jego dzień. Już myślałam o tym, żeby pójść jutro do spowiedzi św. i ofiarować Komunię św. w intencji tatusia.

— Ja też jutro idę do spowiedzi — rzekła za Irką matka.

— Więc doskonale mamusiu, pójdziemy razem. Jak to dobrze, że i mamusia idzie. Tatus ucieszy się, gdy zobaczy, że o nim pamiętamy. Ale mamusiu, na grób tatusia też pójdziemy i zaniemiemy kwiaty. Prawda? Pójdzie ze mną mamusia?

— Pójdę. Ale chciałam ci jeszcze na jedną ważną sprawę zwrócić uwagę.

— Na co mamusiu?

— Widzisz, mamy teraz Rok Święty.

— Wiem o tym.

— I w tym Roku można zyskać szczególnie odpusty dla zmarłych, jeśli się odprawi spowiedź jubileuszową i wypełni warunki potrzebne do uzyskania odpustu.

— Te warunki nie trudne — rzekła Irka.

— Dobrze, że mi mamusia przypominała. Więc jutro odprawimy obie z mamusią spowiedzi jubileuszową i po wypełnieniu warunków uzyskamy odpust a to wszystko dla duszy naszego kochanego tatusia w dowód pamięci o nim, w dowód, że go zawsze kochamy.

Zamyśliła się.

— Myślę — rzekła znowu — czy tatus będzie wiedział o tym, że uzyskamy dla niego odpust.

Pani Zofia uśmiechnęła się.

— Jakżeby nie. Przecie miłosierny Bóg, gdy uzyskamy dla duszy tatusia odpust, udzieli mu tego odpustu wedle miłosierdzia swego. Tatus nie może o tym nie wiedzieć. I z pewnością z miłością będzie spoglądał na swoją kochaną Irkę i będzie jej bardzo wdzięczny za pamięć, za modlitwy, za uży-

skany odpust. Napewno więcej nawet niżliby nie wiadomo jak wiele i jak pięknych kwiatów zaniósł na jego grób. Bo widzisz z kwiatów nie ma żadnego pożytku zaś odpust dlań uzyskany niesie mu ochłodę i ulgę, jest dlań pomocą i wsparciem, na które dusza jego z tęsknotą od nas oczekuje. I nie masz piękniejszej pamięci o ojcu zmarłym jak zdobywanie dlań odpustów w Roku Świętym, w Roku łaski, w Roku miłościwym.

— Czy tych odpustów można więcej dla duszy tatusia zyskać mamusiu — niż jeden w Roku Jubileuszowym?

— Tyle razy ile razy spełni się warunki.

— Więc ja mamusiu odprawię je w tym Roku po wiele razy, jeśli to tatusiowi pomoc przynosi.

Nowoczesny apostoł

Dnia 7 maja br. Ojciec Św. ogłosił świętym Antoniego Marię Claret, kapłana hiszpańskiego, którego heroiczne cnoty i wielostronna działalność apostołska zjednały mu uznanie i podziw wszystkich społeczeństw używających języka hiszpańskiego. Urodził się w Salent 23 grudnia 1807, w ubogiej zagrodzie robotnika tkackiego. Był też zrazu sam tkaczem i poznał z bliska żywot robotnika i jego potrzeby duchowe.

W Rzymie uzupełnił swe wykształcenie teologiczne, spędzając jakiś czas na studiach w Gregorianum pod kierunkiem o. jezuitów, po czym powrócił do Hiszpanii, gdzie poświęcił się z zapalem pracy misyjarskiej. Pisał sam, że jakiś rozkaz wewnętrzny nie pozwalał mu spocząć ani na chwilę. Był misjonarzem w Katalonii, na Wyspach Kanaryjskich i na Kubie, gdy jeszcze należała do Hiszpanii. Wreszcie powrócił do Madrytu, gdzie był przez długie lata spowiednikiem i doradcą królowej regentki Izabelli II-giej. Na tym odpowiedzialnym stanowisku oddał swemu krajowi w dziedzinie pracy społecznej i duszpasterskiej duże usługi. Zarliwy wielbiciel Matki Bożej, założył pod Jej wezwaniem zgromadzenie zakonne Synów Serca Niepokalanego Najśw. Marii Panny, zwane od jego nazwiska „klaretaniskim“, i żeńskie zgromadzenie Matki Bożej Niepokalanej dla wychowania dzieci. Wich w Katalonii było domem macierzystym zakonu, który dzieli się na 14 prowincji z 24 klasztorami i 4.000 zakonnikami. Są oni sukcesorami pracy misyjnej św. Antoniego Claret i wykonawcami jego duchowego testamentu, zlecającego im ustawiczną, nigdy nieprzerwaną i niesłabnącą ewangelizację.

Na wiele lat przed powstaniem nowoczesnych uniwersytetów katolickich powołał on do życia Seminarium Wyższych Studiów Teologicznych w Escorialu i Akademię św. Michała, poświęconą nauce i sztuce kościelnej.

Antoni Claret wierzył niezmiennie w znaczenie książki i wielką rolę, jaką ona w życiu duchowym człowieka może odegrać. Był fundatorem „Księgarni Katolickiej“ w Barcelonie, obsługującej Hiszpanię i Południową Amerykę i wydająca także jego własne dzieła treści teologicznej lub popularnej. Napisał ich 144, a miarą ich powodzenia był fakt, że od 1843 do 1901 r. rozszły się w jedenastu milionach egzemplarzy w Hiszpanii i Ameryce Południowej.

„Tygodnik Powszechny“

CICHE BOHATERSTWO

Zaprzeczę zawsze każdemu, kto powie, że ludzie garbaci są złośliwi. Wiem, że wielu tak sądzi, motywując to tym, że garbusi upośledzeni przez naturę, zgorzkniali, chowają w swych sercach urazę ku tym, którzy pod względem zdrowia fizycznego stoja wyżej od nich.

To nieprawda

Miałyśmy w gimnazjum garbatą koleżankę. Biedna Terenia! Ile razy przypomniałam sobie naszą klasę, tyle razy widzę pierwszą ławkę od okna, a w niej małą istotkę o bielutkiej jak opłatek cerze i dużych, czarnych, smutnych oczach. Dziś potrafiabym z pewnością wyczytać z tych oczu całą tragedię szesnastu, czy siedemnastu lat, ale wtedy nie dorosłam jeszcze do tego, by wzrokiem serca sięgnąć tak głęboko i ujrzeć głębiej jej duszy.

Żyła zawsze sama, nie biorąc udziału ani w towarzyskim, ani w pełnym wzruszeń życiu swych koleżanek. Za dumna była, by nas prosić o przyjaźń, a my za krótkowzroczną, by jej ją ofiarować.

I tak mijały miesiące i lata.

Przeszła matura (bravissimo! wszystkie zdały!). Wybieramy się na wycieczkę. —

Książki, i to te z ostatniej klasy, chowa się na samo dno szuflady. Tornister na plecy, aparat fotograficzny do ręki i... niezwykła wiadomość: Terenia wybiera się z nami!!!

Terenia?

— Popsuje nam wycieczkę. Przemęczy się. Daleko nie zajdzie. Może przez nią wrócić będziemy musiały. Musimy jej to odradzić.

Naprawdę. Terenia idzie. Pogodziliśmy się jakoś z tym zmartwieniem. Zresztą całkiem dobrze dotrzymuje nam kroku. Jest dziwnie wesoła i ożywiona. Nie pozwala nieść swojego tornistra nikomu. Opowiada nam anegdotki, śpiewa, do każdej uśmiecha się, a wszystkie doznajemy uroku jej przedziwnego czar i wdzięku. (Czemu tak późno?)

Jesteśmy u mety. Odpoczywamy, leżąc na trawie, wpatrzone w przeczysty błękit, z którego dwie bieluchne chmurki spozierają ku nam.

A potem długie godziny spędzone w lesie. Zakłóciłyśmy jego majestatyczną ciszę wrzaskami i śpiewem, płynącym z młodych, przepięknych radością i szczęściem serc.

Zadnego rozdźwięku wśród nas. Wszyst-

kie byliśmy jednym, bo przeżywałyśmy jedno: pierwszy etap życia, ukończony pomysłnie. Idziemy dalej odważnie z całym uświadomieniem naszych celów, pewnie, że z pomocą Boga i z Nim zajdziemy daleko.

Terenia była niezmiernie wzruszona. Ścisnąc na dobranoc ręce każdej z nas, mówiła, że przeżyła najpiękniejszy dzień swego życia, bo dałyśmy jej odczuć słodycz koleżeńskości życia.

Nazajutrz w powrotną drogę! Nastrój ani trochę się zmienił aż do chwili, w której Anka zauważyła, że Tereni niema między nami.

— Jakto! Przecież w tej chwili do niej mówiłam!

— No, ale teraz jej niema!

— Pewnie została w tyle. Zaraz ją zobaczymy. Nadbiegnie.

Czekamy. Nie ma. Wracamy. Nigdzie jej nie widać. Aż nagle zobaczyłyśmy małą, skurczoną istotkę pod drzewem. Była blada, jak trup. Na nasz widok zerwała się i próbowała uśmiechnąć się, ale padła zemdlną. Cóż się okazało? Ukąsiła ją żmija. Nie chciała nam psuć humoru, sama dokonała operacji, wyciskując ukąszone ciało scyzorykiem. Nie mogła znieść tego bólu.

Zaniosłyśmy ją do najbliższej chaty. Największym jej zmartwieniem, gdy ocuciliśmy ją, było, że mamy z nią tyle kłopotu.

— Tak chciałam — mówiła — przeżyć ten ból i nie wnosić rozdźwięku do tej przyjaznej atmosfery, którą wczoraj oddychałam. Było mi tak dobrze, jesteście takie kochane, dobre, tylko ja wam nie dorównywałam, jestem kaleką fizyczną, i kaleką duchową, i...

Nie dokończyła. Lola, ta sama, która w gimnazjum najwięcej jej nie lubiła, objęła ją i mocno uściśnęła.

— Tereniu, jesteś małą ciałem, ale olbrzymem ducha. Jak to być mogło, że Ty najlepsza i najszlachetniejsza z nas stałaś zawsze na szarym końcu?

Zamilkła Lola. Cóż więcej mogła powiedzieć? Widziałyśmy tylko, jak gwałtownie wstrzymała się od łez, a siła na uśmiech, gdy podawała swą dłoń małej kalece.

Po kolei wszystkie uściśnęłyśmy jej drobną, ale jakże dzielną rękę.

A potem! W radosnym uniesieniu ducha porwałyśmy Terenię na ramiona i obchodząc z nią naokoło łóżka śpiewałyśmy głośno.

„Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus” — Przeto się cieszymy, gdyśmy jeszcze młodzi!... W. M.

Pachną sianokosy

Kiedy patrzę w srebrną dal miesiąca ponad ziemię w mrokach czarną, chłonę tę ciszę co blaskiem prześwieca zanim szarość nieboskłon ogarnie.

I dłoń otrząsa z wonnych kwiatów rosy osłuta przedzą rozwłóczonych cieni — miodną słodczą pachną sianokosy pośród miesięcznych srebrnych promieni.

Na nieboskłonie, tajemną mocą, gwiazd złote rozkwitają kwiaty i drżą nad ziemią i blaskiem migocą duszę unosząc kędyś w zaświaty.

Maria Dzierżyńska.



W słonecznych dni

CYKL: POLSKIE WZORY.

OJCIEC TRĘDOWATYCH

W setną rocznicę urodzin O. J. Beyzyma
15. 5. 1850.

Któż nie słyszał o wielkim polskim apostołe trędowatych? O czyżby uszy w Polsce po wiele razy nie obito się głośnie nazwisko jezuity, O. Jana Beyzyma? Ofiarną, bohaterską pracą rozświetlił szeroko swój kraj w świecie. Imię jego zna świat katolicki i ze czcią chyli przed tą wielką postacią czoła.

Urodził się ks. Jan Beyzym 15. V. 1850 r. w Beyzymach Wielkich. Wykształcenie gimnazjalne pobierał w Kijowie.

W roku 1872 postanawia wstąpić do zakonu jezuitów. Czuje w duszy prężny głos Boga, wzywającego go do swojej służby. Idzie za tym głosem. Odbywa nowicjat. Duch jego rośnie i mężnieje. Łaska Najwyższego znajduje w nim podatną rolę. Jego życie w Starejwsi jest przykładem jak należy odpowiadać człowiekowi na głos łaski.

Pierwsze śluby zakonne składa w r. 1874. W r. 1878 przeniesiony zostaje przez władze zakonne do Tarnopola. Pracuje nad wychowaniem młodzieży. Okazuje się, że ma w tym kierunku wybitne zdolności. Wpływ jego na młodzież jest olbrzymi. Daje jej swoje serce, nie więc dziwnego, że i on wzajemnie otrzymuje serce młodzieży. Jest przez nią kochany!

Następują po tym studia teologiczne w Krakowie. Biskup Albin Dunajewski święci go na kapłana w r. 1881. Znow przebywa w Tarnopolu i później Chyrowie.

Ale pełnię ofiary życia złożył Bogu nie w pracy na niwie ojczystej ale daleko poza granicami kraju na Madagaskarze. Tam dopiero pokazuje się kim potrafi być O. Jan Beyzym.

Pełen ognia Bożego jedzie na Madagaskar w r. 1898. Liczy wtedy lat 49. Płonie mu dusza pragnieniem ofiary. On tak często marzył o pracach misyjnych. On nieraz snuł plany o tych wielkich Bożych pracach na dalekich ugorach, gdzie mało znają Chrystusa. A oto marzenia jego mogą się spełnić. Dobry Bóg postawił go na polach misyjnych.

I co za pola! Trędowaci! Najniebezpieczniejsi z niebezpiecznych ludzi. Istne żywe, gnijące trupy, opuszczone przez zdrowych, zostawione swojej bezmiernie nędzy. Nie może się napatrzyć O. Beyzym trędowatym, gdy się wśród nich jawi w Ambakiwuraku! Nie sądził nigdy, że tak strasznym jest trąd i tak potworne położenie trędowatych. Istny cmentarz gnijących, cuchnących, strasznych. Twarze zniekształcone, wargi nabrzmiałe, policzki popuchłe, cera straszna, wielu bez palców z kikutami rąk. Mieszkają jak bydła razem wszyscy, kobiety, mężczyźni, dzieci. Jedzą ryż, którego dostają ogromnie mało. Wciąż są głodni. Nie mają lekarstw. Ran ich nikt nie przewija, mnoży się w nich robactwo.

Litość bezmierna budzi się w sercu dobrego Ojca. Och, dać tym biednym ludziom wszystkie swoje siły, wszystek trud, wszystką pracę. Dać im siebie całego, nie lekkać się o to, że w niedługim czasie można w swoim cieple nosić jad trądu i ciało mieć w rozkładzie jak oni. Nie liczyć się ze sobą jeno ulżyć doli biednych tych ludzi.

Rzuca się w wir pracy. Tu trzeba zacząć wszystko prawie od podstaw, by ulżyć doli biednych trędowatych. Brak pieniędzy. Kieruje przeto oczy swoje ku dalekiej ojczyźnie, za którą bezmiernie tęskni i woła ku rodakom o pomoc, prosi, żebrze, błaga, z dalekiego Madagaskaru, z otchłani nędzy ludzkiej. Ofiary z kraju płyną. Nawet płyną obficie. Cieszy się Ojciec i jakże dumny jest

ze swojej ojczyzny, jakże często chorym swoim opowiada o niej, o jej pięknie, o jej krasie i o jej dobrym sercu.

Kiedy O. Beyzym dostaje pierwszy kawalek płótna i kiedy opatruje rany pierwszemu trędowatemu inni chorzy wpatrują się i nadziwić się nie mogą. Bóg czyni wielkie rzeczy wśród chorych rękami O. Beyzyma. Garną się do niego jak dzieci chore do matki, która wszystko im daje ze siebie, idą do niego ze wszystkim, z ranami ciała i duszy. Tchnienie pokoju Bożego spływa na nieszczęśliwych. Słuchają jego nauk ze skupieniem. Dotąd nikt im tak wiele dobrego nie uczynił. Dotąd nikt do nich tak nie mówił, jak ten Ojciec. On wszystkie pytania ich dusz tak umiejętnie umie rozwiązać. Dreczy ich ciągle straszliwe podświadome pytanie: czemu to oni tak cierpią, czemu to oni właśnie okryci wrzodami, czemu gniją im ciała i odpadają członki, czemu w sobie noszą chorobę, od której uciekają wszyscy, by się bronić Boże jej nie nabawić?

— Rany twoje są twoją obroną — mówi im O. Beyzym. — Bronią czystości i piękności twojej duszy.

Praca O. Beyzyma i ofiary z Polski dają wspaniałe rezultaty. W Ambakiwuraku zmienia się nie do poznania, są oddzielne pomieszczenia dla kobiet i mężczyzn, są lekarstwa, jest kaplica, w której chorzy tak modlić się lubią.

Po 4 latach pracy w Ambakiwuraku przenosi się O. Beyzym na nową placówkę w Maranie odległą o kilkaset kilometrów. Zatrzasną tu nędzne schronisko dla trędowatych, które może pomieścić zaledwie 50 chorych. Znow olbrzymi wysiłek, by doprowadzić trędowatych do możliwego stanu. Do pomocy sprowadza z Francji siostry św. Józefa z Cluny. Zakłada ogrody warzywne

i kwietne. Z Polski sprowadza nasiona czystych drzew, by choć one tu na dalekiej obczyźnie przypominały mu jego Polskę. Wzruszający jest list, w którym prosi o przysłanie mu z Polski nasion polskiej, naszej brzozy. Trędowaci są wprost oszołomieni wszystkim, co zrobił dla nich Ojciec Beyzym. Mają nawet bibliotekę, w podwórku szpitala tryska wesoło wodotrysk, któremu dosyć napatrzyć się nigdy nie mogą, urządzenia są wygodne i schludne.

Wszystko dla chorych. Oto hasło O. Beyzyma. O sobie nie myślał. Prowadził sam życie straszliwie surowe. Wstaje codziennie o godzinie pół do czwartej, karmi się lichą, przeważnie suchym ryżem, który urozmaicał ziemniakami z dzikim zielem i herbatą, którą dla oszczędności zagrzewał na lampie. Syptał na gołej desce. Pracował bezustannie. Oszczędzał każdy grosz. Był straszliwym skąpcem dla siebie, by mieć jak najwięcej dla swoich chorych „piskląt”.

Na Madagaskarze wypalił się całkowicie. Zmarł na posterunku 2. X. 1912. Choroba? Cóżby innego. Trąd. Oczywiście trąd.

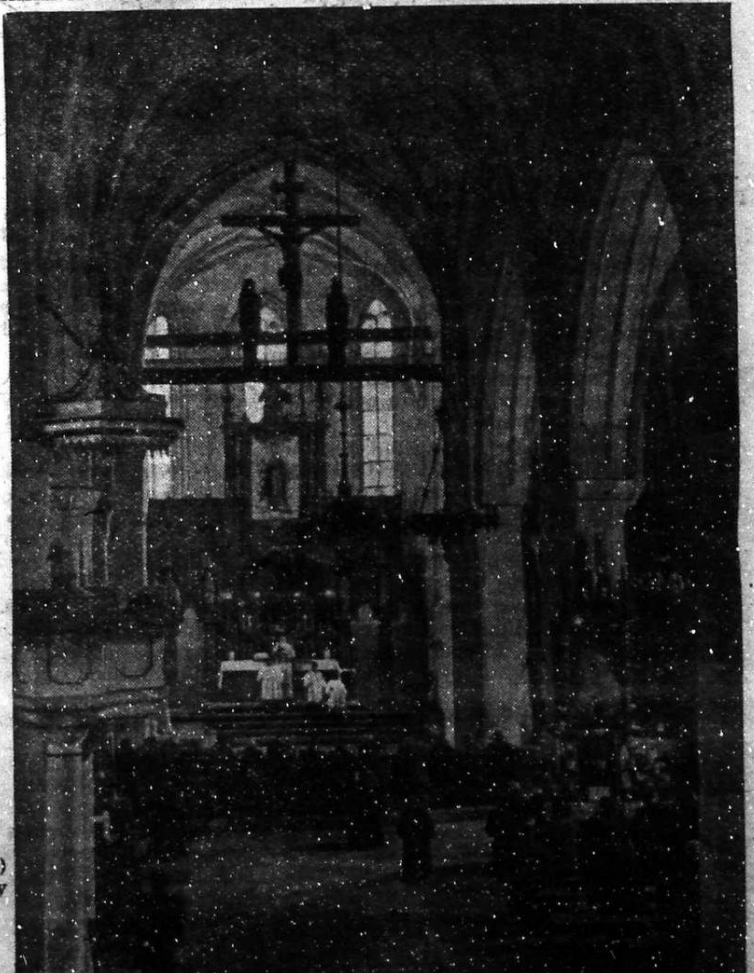
Na dalekim Maranie leży mogiła, w której spoczywają szczątki O. Beyzyma. Rośnie na niej krzak wonnej róży, cały rok okrytej kwieciami. W mogile śpi po trudzie życia, po ofierze człowiek, który dał Bogu i cierpiącym braciom wszystko, co dać mógł człowiek.

Mijają lata. A przecie pamięć o tak wielkiej ofierze O. Beyzyma trwa i żyje. I budzi bezmierny szacunek dla tego kapłana prawdziwie według Serca Bożego.

Chyła się czoła ludzkie w uznaniu jego prac i zasług. Są one na miarę przewyższającą powszedniość, sięgają do heroizmu na skalę wysoką.

Mgr Łącki Zbigniew.

Kościół (katedra)
Najśw. Marii Panny
w Gorzowie



Pierwsza miłość

(Dokończenie)

Dziwne doprawdy to życie...

Może... może Bóg pozwoli, że spotkają się znów... i pójdą razem... kto wie?

A może rozejdą się — każde pójdzie swoją drogą... Ale coś w sercu pozostanie... coś boleć będzie i szarpać...

Danka nagle podnosi ku niemu twarz i mówi cicho:

— Boję się czegoś... zdaje mi się, że pan odjedzie zaraz... Nie zapomni pan, Stefanie?

Chciałby ją utulić gorąco, przyciskając do siebie i pójść z nią w życie...

Ale tylko przyciska jej ramię i całuje opaloną rączkę.

I słów im zbrakło... a bali się spłoszyć tę słodką ciszę i zrozumienie, które spłynęło do ich serc.

Do Rabki wrócili o 10-tej wieczorem. Danka umyła się, przebrała i zeszła na dół. Całe towarzystwo, chociaż zmęczone, rozmawiało z ożywieniem. Śmiech i gwar rozbrzmiewał w sali.

Danka usiadła przy stoliku. Po kilku minutach zaczęła się niecierpliwie.

Stefan nie przychodził.

Podano kolację. Czekala nań, ale później napiła się herbaty. Jeść nie mogła. Za bardzo była zmęczona, poza tym dziwny smutek ścisnął jej gardło...

Co się stało?

Po kolacji goście rozeszli się. W dużej sali, jasno oświetlonej, została tylko sama. Ukryła twarz w dłoniach.

Ktoś wszedł...

Spojrzała i drgnęła zdumiona.

Takim jeszcze Stefana nie widziała.

Jego żywiołowa radość i uśmiech zniknęły gdzieś. I tej bolesnej zmarszczki na czole też jeszcze nie widziała.

Cofnęła się mimo woli, — bo w roześmianych oczach dziecka ujrzała smutek i rozpacz...

Oparł się ciężko o stół.

Wyciągnęła dłoń i położyła ją na jego zacienionej ręce ciepło, serdecznie...

Pochylił się ku niej.

— Muszę jechać... Za dwie godziny ostatni pociąg... depesza czekała na mnie od rana.

— Jezus Maria! Co się stało?

— Nic, kochanie moje... spokoju... Kolega miał wypadek samochodowy, a jutro musi wyjechać na posadę... Prosi mnie, bym jechał za niego. On po wyzdrowieniu obejmie moją obecność w Katowicach, bo tymczasem zostało mi jeszcze parę dni urlopu. Danusiu droga, jedyna... muszę... On tam przyrzekł... czekają nań... Kochanie moje...

Ujął jej dłoń, a potem ogarnął ją ramieniem. Miała oczy pełne łez i tęsknoty, gdy przytuliła się do jego piersi.

— Danusiu...

— Stef... kocham cię... tak bardzo... napisz zaraz... Oh, czemu ja cię spotkałam...

— Nigdy nie żałuj Dan, że pokochałaś kogoś... W życiu zawsze trzeba coś ukochać — i pamiętaj, małeńka... kocham cię...

— Może Bóg da... że spotkamy się... pomódl się... Danuś... ja w tej intencji także... no kochanie, Dan, nie płacz. Oh, ja przecież muszę jechać... nie płacz, bo rzucę wszystko — Dan, ty nie wiesz, czym dla mnie jesteś... Ucałował jej czoło — i nagle prawie wybiegł z pokoju.

Nie zastała Irenki w zakładzie, nie miała z kim porozmawiać o Stefie.

Czuła się źle i samotnie. Nie chciała myśleć, co będzie dalej. Żyła tylko wspomnieniem.

Dni mijały wolno, smutno. Dostała list z domu.

Jest nowy magister. Zawojował już wszystkich, a i Danusi z pewnością spodoba się... Bardzo miły, pogodny zawsze, chętnie i z prawdziwym zapałem wziął się do pracy.

Na imię jest mu Stefan...

Dankę coś chwyciło za serce...

Więc zawsze będzie jej przypominał tamtego... jej kochanego chłopca o roześmianych oczach dobrego dziecka...

Jakie to życie dziwne...

Czy też Stefan napisze do niej... czy też nie zapomni?

Minął przecież tydzień od jego wyjazdu — a mimo obietnicy nie otrzymała żadnej wiadomości.

Danka dopiero teraz przekonała się, jak bardzo pokochała go... i co to znaczy tęsknota.

Nie mogła już dłużej przebywać tu, gdzie wszystko przypominało jej Stefana.

Poszła do Irenki. Ale Irenka miała tylko chwilę czasu, gdyż konie czekały już. Dziewczęta jechać miały na daleki spacer.

I ona nie miała listu od Stefa. Więc obie nie wiedziały, co się z nim dzieje...

Iry na pożegnanie szepnęła przytulona do Danki:

— To tylko wiem, że pokochał panią... i że będzie starał się odnaleźć panią wszędzie... Lzy spłynęły po twarzy Danki. Przecież ta ich pierwsza miłość nie może się skończyć źle... och, nie.

Napisała do domu i na drugi dzień zrobiła wycieczkę na cały tydzień w Pieniny.

Kiedy pewnego dnia weszła do apteki — z walizkami i pękiem kwiatów — ojciec rzucił gazetę i z okrzykiem radości podszedł ku niej.

W krzywym zwierciadle

(Członek klubu J. Czerepachy).

SIEKIERA

(Wycieczkowiczom i wczasowiczom do albumu!)

Żeby artykuł ten napisać jak należy, muszę zamienić pióro na siekiere. Pisano już bowiem na temat ten wielokrotnie, podawano nawet nazwiska przestępców, fotografie zbrodniczych wyczynów, ale — jak się wciąż okazuje — bez skutku. Postanowiłem więc zrabować niepoprawnych i tych, co wybrykom takim przyglądają się bezczynnie.

O kogo i o co tu chodzi?

O tych durnych bęcwałów i niemniej durne bęcwałki, o to całe pustogłowe, bezmyślne i nieodpowiedzialne towarzystwo, które jeżdżąc na wycieczki lub wczasy, w pojedynkę lub zbiorowo — uważa za stosowne umieszczać wszędzie „pamiątkowe” podpisy i napisy, zanieczyszczając nimi i szpecąc muzea, miejsca historyczne, pomniki, schroniska, stoły, krzesła, ściany, kamienie, drzewa, okna, ławki w parkach, nawet drzewa w lesie. Gdzie nie mogą utrwalić śladu swego pobytu atramentem lub ołówkiem, tam wycinają kozikiem, scyzorykiem, zbójckim majchrem, nożem. Im kto jest większym zrem, tym bardziej pragnie wyładować swą „indywidualność” w ten właśnie barbarzyński sposób. Do głowy takiemu facetowi nie wpadnie, że zostawia po sobie jedynie dokument własnej głupoty.

Gdy tuliła się doń, ktoś drugi w białym płaszczu aptecznym wyszedł z laboratorium. I nagle kwiaty wypadły z rąk Danusi. Nie widziała ciepłego uśmiechu ojca... Nie wiedziała także, że stała tak bez słowa kilka chwil... zmieniona na twarzy...

Podszedł do niej... Wysoki, przystojny jasny blondyn. Od opalonej twarzy odbijały śliczne jasne oczy dobrego dziecka. Te oczy, które pokochała...

Roześmiane były teraz... i takie ciepłe... takie łagodne... Tyle w nich było uczucia...

— Stef... Stef!...

Przycisnął usta do jej rąk, które drżały silnie.

— Tak, to ja...

— I... skąd... skąd, Stefanie?... Dlaczego nic... nic nie napisałeś? — patrzyła nań z nieopisaną radością... przez lzy...

— Dowiedziałem się zaraz... po objęciu posady... że córka mego szefa... i ty, — to jedna osóbką... I chciałem ci zrobić niespodziankę...

— Tatuśku, i ty również wiedziałeś? — uszczęśliwiona ścisnęła ojca gorąco.

— No, a ty co myślałaś?

— Aha, więc to był spisek?

Wybuchnęli wszyscy troje serdecznym śmiechem i otoczyli matkę, która stanęła we drzwiach.

— I... i... Stef... będziemy pracować razem?...

— Razem Danko... zawsze razem...

Rodzice położyli dłoń na ich głowach.

— Razem, dzieci... a teraz przywitajcie się...

Rozpromienił się buziak Danki, gdy Stefan objął ją delikatnie i złożył czysty, gorący pocałunek na jej opalonym czole...

Kaliszanka.

„Nomina stultorum sunt omnium locorum” — powiada łacińskie — choć niezbyt klasyczne — przysłowie. („Imiona głupców są na wszystkich miejscach”).

Nie wierzyć? — Więc chyba nie czytacie prasy.

Dyrekcja Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, które jest sanktuarium martyrologii polskiej i innych narodów, raz po raz apeluje, by przybywające wycieczki zadowolili się wpisaniem do książki pamiątkowej, a uszanowały miejsce kaźni milionów. Niestety, apeluje naprzóżno. Wciąż bowiem mnożą się profanacje tych miejsc przez wybryki coraz to nowych bęcwałów. Jeśli nie podpisują się indywidualnie, to bazgrzą w imieniu całej wycieczki, podając jej tytuł, miejscowość, datę itd.

Nie ograniczajmy się do Oświęcimia! Policzmy nazwiska uwiecznione na wieży Mariackiej w Krakowie, na schodach do Smoczej Jamy, na ścianach i ambonach zewnętrznych kaplic w Kalwarii Zebrzydowskiej, wewnątrz wieży Jasnogórskiej, na ruinach zamku w Chojnastach, na zabytkach Wrocławia, Poznania i Gdańska, na słupach granicznych w Tatrach, w domach noclegowych i schroniskach, na dworcach kolejowych i w wagonach, w miejscach świętych i nieświętych, w każdym zakątku naszego kraju, wszędzie — wszędzie — wszędzie...

Pamiętam szalaś w dolinie Kościelskiej, którego deski do tego stopnia poryte były podpisami, że nie można już było znaleźć miejsca na jeszcze jedno nazwisko. Nie zapomnę też nigdy wspaniałego okazu cisa, na którego korze nóż rzeźmieszką wykroił dwa serca i napis: „Władek i Dziunia z Sosnowca“.

Ogłaszanie tych dokumentów bécwalstwa nie jest środkiem radykalnym, bo niezawsze trafia do ambicji sprawców. Sam się przekonałem, że częściej od wstydu odczuwają oni „Schadenfreude“ i są nawet dumni, że zepsuli komuś humor i że zostali wspomniani w gazecie.

Nie rozwiązuje również sprawy wykładania ksiąg pamiątkowych. Snob kulturalny podpisze się na papierze, ale snob chachar nie ma zaufania do papieru jako rzeczy nietrwałej i nie rzucającej się w oczy. On chce, żeby jego kulfonyasty podpis przykuwał uwagę wszystkich. Przed kilkunastu laty u wejścia do komnat królewskich na Wawelu umieszczono spory blok arkuszy papieru, a nad nim dano napis bardzo niepedagogiczny i złośliwy: „Dla zwiedzających, którzy czują potrzebę uwieczniania swych nazwisk“. Oczywiście, nikt z tej zachęty nie korzystał, nikt nie kładł tam podpisów, a jeśli zrywano arkusze, to zgola dla innych potrzeb.

Sprawcy umieszczania napisów muszą odczuć następstwa swoich wybryków na własnej skórze i w sposób, który by wybił z głowy ich przyszłym naśladowcom chęć

pójścia w ich ślady. Sprawcy ci muszą być napiętnowani i ośmieszeni przez dłuższy czas. Jednorazowe ośmieszenie nie wystarczy, jeśli są zbyt gruboskórni. Dalsze sankcje należy zróżniczkować indywidualnie. Na przykład:

Zakochani, niszczący bezzwłocznie kozkami korę najpiękniejszych naszych drzew dla upamiętnienia swoich westchnień, powinni odrobić swoje barbarzyństwo w przymusowej pracy na rzecz ochrony lasów.

Wszystkim zaś winowajcom należy wzbudzić udział w jakichkolwiek wycieczkach, oraz prawa korzystania z czasów na przeciąg jednego roku.

Takich sankcji nie zapomni się rychło i niewątpliwie będą one skuteczne. Niezależnie od tego czynniki, których opiece powierzone są obiekty zanieczyszczane napisami, winny zdwoić czujność i kontrolować stale, w jakim stanie zostawiają je zwiedzający. W wypadku przyłapania winowajcy na gorącym uczynku, należy postąpić bez żadnych ceremonii. Chwycić niesfornego gościa za kark lub kapotę — bez względu na to, czy osobnik ten ma 10 czy 30 lub więcej lat — i spisać na miejscu protokół, a obecnych wezwać na świadków. Protokół taki posłać należy w odpisach do prasy, do instytucji, w której chłystek pracuje, lub do szkoły, gdzie się uczy.

Dopóki nie ma odpowiedniej ustawy, normującej kary za takie wybryki, powinna je tępić jak chwast lub zaraze — solidarna postawa całego kulturalnego społeczeństwa.

Kościół i świat

— „*Osservatore Romano*“ zamieszcza na pierwszej stronie z dnia 11 czerwca b. r. „Breve Apostolskie“ Piusa XII, w którym Ojciec Św. ogłasza św. Alfonsa Liguoriego patronem spowiedników i profesorów teologii moralnej.

W słowie wstępnym Ojciec Św. wyjaśnia, że stolica apostolska już od bardzo dawnych czasów zwykła dawać odpowiednim funkcjom i zrzeszeniom czy towarzystwom specjalnych patronów, którzy protegowaliby w niebie u Boga. Patronem nauk przyrodniczych jest np. św. Albert Wielki, wszystkich szkół ludowych na całym świecie św. Jan Kalasanty itd.

Tymczasem św. Alfons Liguori na prośbę kardynałów, arcybiskupów i biskupów zostaje ogłoszony patronem spowiedników i profesorów teologii, gdyż był niezmiernym głosicielem słowa Bożego i spowiednikiem wiernych, a przy tym posiadał głęboką wiedzę religijną, zdobywaną przy wprost cudownej cierpliwości, został również po nim głęboki wykład teologii moralnej, który przez stolicę św. do dziś jest uznany jako pewna norma w sprawowaniu sakramentu pokuty.

— W dniu 30. IV. br. w obecności Ojca Św. zostały recytowane fragmenty poezji wielkiego poety katolickiego Francji Pawła Claudela. Był to rzadki wypadek. Obecny był autor za małżonką. Pod koniec Ojciec Św. próbował scharakteryzować twórczość poetyczną Claudela.

— W dniu 7. V. br. odbyła się w bazylice św. Piotra w Rzymie kanonizacja bł. Antoniego Marii Claret, który założył misyjne zgromadzenie Synów Niepokalanego Serca Marii. 18 maja odbyła się kanonizacja Bartłomieja Capitanio i Wincenty Gerosa. Obie święte założyły włoskie zgromadzenie SS. Miłosierdzia.

Przyjaźń tych dwóch kobiet mimo różnicy temperamentów doprowadziła do słynnego dziś we Włoszech z wielkiego poświęcenia dla chorych zgromadzenia zakonnego.

— Pisaliśmy kiedyś w Tygodniku Katolickim, że niedawno temu ks. Jachym, profesor uniwersytetu we Wiedniu w czasie sakry biskupiej powstał i oświadczył, że nie jest godny tego urzędu. Wkrótce po tym incydencie kardynał Innitzer i ks. Jachym udali się do Rzymu. Ojciec Św. nie zrażony odmową ks. Jachyma zdołał go przekonać i w święto Wniebowstąpienia Pańskiego br. ks. Jachym został konsekrowany na biskupa. Dlaczego tak postąpił? Ponieważ jak pisze „*Volksbote*“ był i jest zdania, że musi się być świętym, jeśli chce się być biskupem według Serca Bożego, a sam nie czuł się na siłach. Uległ dopiero papieżowi, który pod posłuszeństwem nakazał mu nominację przyjąć.

— Pomyślny rozwój misji w Afryce wschodniej. Obszary Afryki wschodniej obejmujące wyżynę Aganta, Kenię i Tanganikę, które przed niespełna 100 laty były Europejczykom prawie nieznane, stanowią dziś wspaniałe rozwijającą się niwę misyjną. Liczą dziś dwa miliony katolików i 350 tysięcy katechumenów. Swoją rolę w odwiecznej przed wszystkim wysiłkom Ojców Białych i innych zakonników, którzy musieli pokonać ogromne trudności, nim podbili serca i dusze tubylców. Zasady ewangelii przyjęły się już niemal powszechnie na tych obszarach. Obalono despotyczną władzę tubylczych książąt, zwalczone epidemie, zlikwidowano zabobony, podnosząc jednocześnie godność stanu małżeńskiego i związków rodzinnych. Pomyślnie też postępuje naprzód wychowanie kleru tubylczego. Pierwsi kapłani tubylczy w Ugandzie wyswięceni zostali w 1910 r. a dziś jest tam ich już 119, zaś w Tanganice 112.

Katolicy w Słońsku witali Arcypasterza

I znowu nasz Słońsk przeżył pamiętne dni.

Niezmiernie dbały o dobro dusz naszych ks. proboszcz Piękoś Władysław zaprosił jak przed 2 laty OO. Misjonarzy z Gorzowa dla odnowienia Misji św., które miały być równocześnie przygotowaniem do przyjęcia Sakramentu Bierzmowania przez młodzież w dniu 4 czerwca 1950 roku, w którym to dniu Najdosłojniejszy Arcypasterz ks. dr E. Nowicki, Administrator Apostolski obiecał swoje przybycie z Gorzowa.

I znowu jak przed 2-ma laty OO. Misjonarze od chwili odebrania stuy w niedzielę 20. V. aż do zakończenia Misji 28. V., to jest w pierwszy dzień Zielonych Świąt — nie szczędzili sił ani mozołu w ciężkiej pracy nad naszymi sumieniami; lecz i parafianie wdzięcznie odpowiadali na ich wzywania, jawiąc się na naukach, przystępując do Sakramentu jeszcze liczniej i pilniej, niż przed 2-ma laty.

Najlepszym owocem odnowienia Misji św. była niedziela 4 czerwca, dzień bierzmowania.

Słońsk, po raz pierwszy goszcząc Najdosłojniejszego Arcypasterza, w granicach możliwości uczynił wszystko, by godnie Go przyjąć.

O godzinie 14-ej u bramy powitalnej ustawionej u północnego wylotu ulicy Gen. Sikorskiego, witał Arcypasterza ks. proboszcz wraz z ks. dziekanem z Rzepina i kilku innymi z okolicznego duchowieństwa. Jeden z obywateli Słonska podał tradycyjny chleb i sól. Następnie uczciła Go dziatwa deklamacją i wręczeniem kwiatów, a śliczne i bezbłędne wygłoszenie długiego wiersza przez jedno małżonek dziewczątka z Gorzyc wzruszyło Arcypasterza do tego stopnia, że wyróżnił je pocałunkiem w ramię. Po tym

w uroczystej procesji, przy dźwięku dzwonów i pieśni, Najdosłojniejszy Gość wkroczył do kościoła. Piękny nasz kościół z zażytkowym ołtarzem i niedawno przebudowaną mensą i tabernakulum, przybrał też na tę uroczystość swą najdosłojniejszą szatę.

Po udzieleniu błogosławieństwa, gdy Jego Ekscelencja zasiadł w przygotowanym dla Niego tronie, przemówił z ambyony ks. proboszcz w krótkich lecz gorących słowach i odebrał od przystępujących do bierzmowania wyznanie wiary.

Nasunęło się wtedy na myśl pewne skojarzenie. Kościół nasz ma za sobą tradycję rycerskiego zakonu Joannitów, którzy tu niegdyś byli pasowani, lecz odstąpili oni od wiary katolickiej i obecnie będzie świadkiem pasowania na rycerzy prawdziwej wiary świętej — aby to było rekompensatą za tamto odstępstwo.

A gdy Najczcigodniejszy Arcypasterz zabrał głos, w serdecznych słowach zwrócił się do rodziców, przede wszystkim do ojców, by mieli w szczególności pieczę religijne wychowanie dzieci w duchu i bojaźni Bożej, znalazł i kilka ciepłych słów dla naszych matek. W końcu zwrócił się do dziatwy i młodzieży, oczekującej Sakramentu Bierzmowania, zachęcając, by stała się godną łask Ducha Świętego, które im ten Sakrament zapewni.

Rozpoczął się akt bierzmowania.

Po udzieleniu błogosławieństwa i odśpiewaniu jednej zwrotki „*My chcemy Boga*“ zakończono uroczystość.

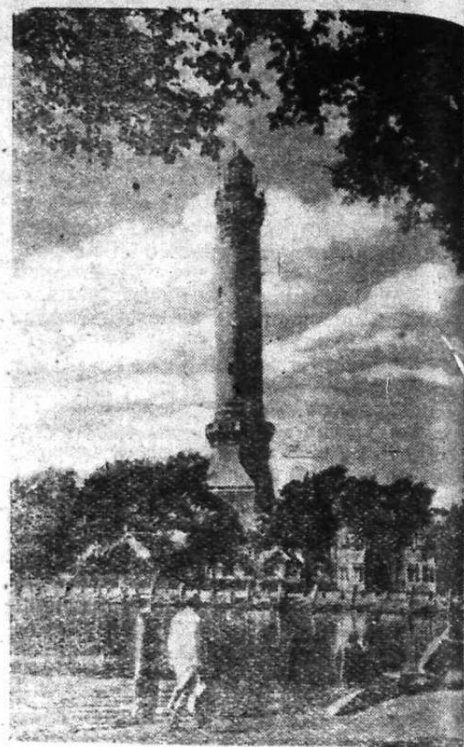
Długo, długo — miasteczko drgało echem odjeżdżających furmanek, a serca zamknęły jeszcze jedno rzewne i krzepiące wspomnienie — da Duch Święty — na zawsze!



Rybacy przy suszeniu sieci.



Plaża w Swinoujściu



Swinoujście — Latarnia morska

Józef Baranowski.

PIEŚŃ POKOJU

I.

Biały mój obłoku,
Gołębiu mój biały
Zniż lot swej wędrówki
Wolnej i wspaniałej.

Niech nad każdym miastem
I nad każdą wioską,
Twój blask srebrnopióry
Darzy serca wiosną.

Biały mój obłoku,
Gołębiu mój biały,
W tobie pieśń wolności
Wichrem rozszumiała —

Wolna jest pieśń nasza —
Szeroka, beztroska —
Rytmiczna jak oddech
Traktorów po wioskach.

Wolna jest pieśń nasza —
Beztroska, szeroka —
Jak wzorzyste łąny
I szept fal w potokach.

Wolna jest pieśń nasza —
Bo w niej czyn i praca
Nowym lepszym jutrem
Ojczyznę wzbogaca.

II.

Nieś nam powitalny,
odgłos srebrnych dzwonów
I hymn modlitewny
W blaskach nieboskłonu —

Ozdabiaj przydrożne
Kapliczki kwiatami
I pracę rolnika
Błogosław czynami.

Pokój ziemi polskiej,
Ziemii ukochanej.
I niech Bóg miłością
W sercach zmartwychwstanie.

Gołębiem pokoju
Wzleć obłoku biały
I utrwali cel życia
W czynach doskonałych.

Katolicki Kalendarz Głosu Karmelu

na rok 1950

Stron 80. — Cena 120 zł
+ przesyłka 10 zł

Zamówienia i wpłaty kierować:

Wydawnictwo OO. Karmelitów
Bosych

KRAKÓW

ul. Rakowicka 18
PKO IV-848/123

Radioamatorom

wysyłamy bezpłatny katalog broszur
radiowych.

Zakopane, Skrytka 125.

MATURZYŚCI

oraz uczniowie z ukończoną dziesiątą
względnie dziewiątą klasą liceum
ogólnokształcącego mogą się zgłaszać
jako kandydaci na kapłanów-dusz-
pasterzy.

Informacji udziela

TOWARZYSTWO CHRYSZTUSÓWE

(Seminarium Zagraniczne)

POZNAŃ, ul. Lubrańskiego 1a.

Wydawca: Administracja Apostolska. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.

Adres Redakcji i Administracji: Górzów Wielkopolski, ul. Drzymały 36.

Telefon 739 — P. K. O. V-854/113. Godziny przyjęć od 12-tej do 13-tej.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Prenum. miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł.

Ogłoszenia w cenie 120 zł za jeden mm wysokości w jednej szpalcie.

Drukarnia Poznańskich Zakładach Graficznych — Oddział Kościół 608 — 6. 56.

K-1 — 11333 — 28. 6. 50. Druk ukończono 30. 6. 50.